

Generał Brown sporządził szybko listę dwudziestu żołnierzy i podał dokument pułkownikowi, a ten spokojnie przestudiował nazwiska i schował dokument do kieszeni. Następnie uruchomił pilotem duży projekt na jednej ze ścian kwatery generała.

— Pozwoli pan, panie generale, że wprowadzę pana nieco w temat naszej wspólnej misji.

— Chętnie.

— Jak już wspominałem, planujemy lot załogowy na Marsa. Nasz pojazd będzie naszym domem, bazą wypadową i przyszłym zapleczem do założenia nowej bazy dla przyszłych misji.

— Co to znaczy?

— Pan wie, że nasz pojazd nie jest jedynym w tej bazie. Jest ich dokładnie siedem, w tym dwa transportowce. Jeden z nich zostanie wysłany do nas po naszym lądowaniu na Marsie. Potem przyleci kolejna misja. Będziemy potrzebowali ludzi i maszyn oraz surowców do zbudowania podziemnego kompleksu dla przyszłych pokoleń.

— Czy ja będę przez cały czas dowódcą bazy?

— Naturalnie. Nikt z nas przecież nie wróci na Ziemię. To bezcelowe i nieopłacalne.

— No tak.

— Ale do rzeczy. Nasza załoga będzie składała się z pilotów, pana żołnierzy, naukowców, inżynierów, specjalistów różnego rodzaju, dobrze wykwalifikowanych robotników oraz kilku par rozrodczych.

— Co takiego?

— Dobrze pan słyszał. Zabieramy cztery pary zdrowych ludzi, aby się rozmnażały na nowej planecie.

— Nie prościej ściągnąć ludzi z Ziemi?

— Chcemy stworzyć nowego człowieka, który nie będzie pamiętał o życiu na starej planecie — człowieka z Marsa.

— Zaczyna mnie to przerażać.

— Nie rozumiem. To żart?

— A pomyślał pan o tym, panie pułkowniku, że ci nowi ludzie, jak miemam świetnie wykształceni i wyszkoleni w najnowszych technologiach, kiedyś będą chcieli zniszczyć Ziemię jako obcą i wrogą planetę?

— Pan żartuje.

— Nie, ale tego się obawiam. Trzeba zawsze brać pod uwagę każdy wariant.

— Raczej wykluczam taką możliwość.

— Proszę o tej sugestii wspomnieć w swoim raporcie, który jak miemam sporządzi pan dzisiaj.

Pułkownik Crajm spojrział przenikliwie jasno niebieskimi oczami na opanowaną twarz generała i zrozumiał, że nie może nie doceniać tego człowieka, ale po chwili opanował się i odrzekł z uśmiechem:

— Nieobce są panu żadne procedury.

— Współczesna armia to nie tylko broń i wojna, to także papiery.

— Tak, wiem, ale odeszliśmy nieco od tematu. Pozwoli pan, że wyświetlę teraz najnowsze zdjęcia z Marsa.

— Proszę bardzo.

— Jak pan widzi, powierzchnia tej planety jest bardzo nierówna i pofałdowana. To przez dawną działalność licznych wulkanów, obecnie wygasłych. Największy z tych dawnych olbrzymów nosi nazwę Olympus Mons i ma wysokość dwudziestu czterech kilometrów. Oto jego zdjęcie.

— Imponujący.

— Prawda? Istny olbrzym. Jego podstawa ma prawie pięćset kilometrów średnicy. Ale nie tylko wzgórza wulkaniczne oplatają planetę. Jest tam również ogromna ilość kanionów o głębokości od dwóch do siedmiu, a nawet ośmiu kilometrów, niektóre mają długość około czterech tysięcy.

— Trudny teren z punktu widzenia wojskowego.

— To fakt. Proszę spojrzeć na to zdjęcie. To półkula południowa, a to najciekawszy jej obiekt, krater uderzeniowy Hellas Planitia o głębokości sześciu kilometrów, ze średnicą dochodzącą dwóch tysięcy kilometrów.

— Jak więc mamy założyć bazę w tak trudnym i niegościnnym terenie?

— Dobre pytanie. Wszystko powstanie na wzór obecnej bazy, w której się teraz znajdujemy, pod ziemią.

— A woda?

— Kiedyś Mars posiadał w swojej północnej części gigantyczny ocean, ale to było dawno temu. Obecnie jest tam tylko lód, ale nic nam nie grozi.

— Rozumiem.

— A teraz trochę statystyk. Mars jest planetą typowo skalistą. Jego średnica równikowa wynosi 6794 kilometry, okres obrotu to 24,6 godziny, okres obiegu wynosi 687 dni, prędkość obrotu 868 kilometrów na godzinę, oczywiście na równiku.

— Gdzie założymy bazę?

— Tutaj.

Generał spojrział na niewielkie wzniesienie na mniej więcej równej powierzchni planety. Dookoła tego miejsca znajdowały się różnej wielkości głazy, a obok były kaniony i jakieś wzgórza.

— Kto wybrał to miejsce?

— Specjaliści. Ma być najbardziej dogodnie z każdego punktu widzenia.

— A te setki głazów?

— Usuniemy je specjalną bronią.

— Szkoda energii.

— Możliwe, ale nie ma mamy wpływu na miejsce lądowania. Musimy się liczyć ze zdaniem innych.

— Nie można tego zmienić?

— W żadnym wypadku.

— Panie pułkowniku, proszę być ze mną szczerzy... Ktoś inny został wcześniej wybrany, prawda?

— Tak.

— Co się z nim stało?

— Został przeniesiony na inne stanowisko.

— Dlaczego?

— Miał zbyt dużo wątpliwości i pytań, więc uznano, że nie wierzy w powodzenie misji.

— A ja? Czy też mogę być odsunięty, tak jak mój poprzednik?

— Szczerze?

— Tak, wyłącznie. Proszę mówić.

— Musi pan uwierzyć w cel misji. Nie ma pan innego wyjścia.

— Rozumiem.

— No, dobrze, teraz zajmiemy się samym pojazdem. Oto jego schemat, plany i zdjęcia. Zaczniemy od wyglądu.

— Czy mogę zapalić cygaro?

— Tak, proszę.

Generał spojrział spokojnym wzrokiem na zdjęcie przekroju pojazdu. Według niego MX-1000 był zbyt mały jak na tak poważną wyprawę. Miał pomieścić prawie siedemdziesiąt osób, żywność oraz wodę i sprzęt na tak daleką wyprawę. Poza tym sama konstrukcja sprawiała wrażenie zbyt delikatnej. Podzielił się swoimi wątpliwościami z pułkownikiem, który spojrział uważnie na rozmówcę.

— Nie będziemy zabierali żadnego ciężkiego sprzętu, dostarczy nam go transportowiec, a żywność... No cóż, zapomniałem panu powiedzieć. Nowa generacja odżywiania spowoduje, że dziennie będzie pan otrzymywał dwie tabletki, jedną z wodą, a drugą z niezastąpioną dawką mikroelementów i witamin.

— Czy to wystarczy?

— Tak. Miesiąc przed wylotem zacznie pan specjalną dietę. Proszę mi wierzyć, będzie dobrze. Osobiście nie jem nic poza tabletkami od prawie roku, a jak pan widzi, jestem w świetnej formie.

— Niesamowite.

— Technologia.

— Czy ten pojazd zapewni nam absolutne bezpieczeństwo?

— Tak, ale szczegóły wyjaśni panu jego twórca podczas próbnego lotu, dzisiaj w nocy.

— Interesujące.

— Oczywiście poleci pan z nami?

— Tak.

Model z tworzywa sztucznego był prezentem dla generała. Ten starannie oglądał pojazd w skali jeden do osiemdziesięciu. W zasadzie była to jakby połowa kuli z czterema potężnymi odnogami, na końcu których umieszczono cztery wielkie silniki w kształcie gigantycznych dzwonów o nieco smukłym kształcie. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt pomieszczeń różnego rodzaju, a także sterownia, siłownia i sporej mocy reaktor jądrowy, który zapewniał odpowiednią moc niezbędną do prawidłowego funkcjonowania obiektu. Na pokładzie pojazdu znajdowała się także stacja filtrów, szpital, warsztat mechaniczny, garaż dla czterech pojazdów marsjańskich, arsenał, magazyn części oraz pokój narad.

— Jak się panu podoba?

— Model jest bardzo dobry. Gdzie jest moja kwatera?

— Tutaj, na samej górze, obok mojej i pokoju pilotów.

— A moi ludzie?

— Nieco niżej. Ich zadaniem jest ochrona centrum.

— Nikomu pan nie ufa?

— Tak samo jak i pan. Musimy być gotowi na wszystko. Nie wiadomo, jak zareagują ludzkie mózgi na innej planecie. A jak dopadnie nas jakaś histeria, wybuchnie bunt lub ktoś okaże się psychopatycznym mordercą? Sam pan wie.

— Dlatego musimy zapewnić wszystkim dużo pracy.

— Zgadza się. Zaraz po wylądowaniu rozpoczynamy odwierty w głąb marsjańskiej ziemi.

— A będziemy mieć czym?

— Tak. Oto specjalny pojazd. Proszę obejrzeć zdjęcia.

— Wygląda jak gigantyczny kret.

— Prawidłowe skojarzenie. Taką ma też funkcję: kopać i tworzyć tunele.

— Nie boi się pan, że coś tam znajdziemy?

— Co pan ma na myśli?

— Jeśli kiedyś była tam woda, inna atmosfera, łagodniejszy klimat, może istniała tam jakaś cywilizacja. Wówczas możemy natknąć się na jej ślady lub inne pozostałości.

— Wykluczone.

— A to dlaczego?

— Już to sprawdzaliśmy. Nic tam nie ma.

— To się okaże.

— Dobrze, na dzisiaj koniec tych rozważań. Za chwilę mamy spotkanie z członkami naszego zespołu. Musi pan poznać tych ludzi. Jest ich trzydziestu. Zaprosimy ich każdego z osobna do pańskiej kwatery. Każdy otrzyma kwadrans. Wszyscy są już mieszkańcami bazy. Wejdą i się przedstawią, potem czekam na pana sugestie.

— Kwadrans to niewiele, by kogoś poznać i słusznie ocenić.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale w razie czego na tym pliku ma pan wszystkich, więc kiedy będzie miał pan czas, to proszę się zapoznać z tymi danymi.

— Dziękuję.

— Do zobaczenia o dwudziestej trzeciej.

— Będę gotowy.

Pułkownik zabrał niewielki przenośny komputer i zniknął za przesuwными drzwiami. Po kilku minutach generał usłyszał pukanie do drzwi.

— Proszę wejść.

— Mój numer to 00931. Jestem naczelnym lekarzem wyprawy.

Generał spojrział na drobną, szczupłą i młodą kobietę z męską fryzurą, która stanęła na baczność przy ławie ze szkła. Obrzucił ją spojrzeniem i polecił:

— Proszę usiąść.

— Dziękuję, panie generale.

— Tutaj nie mamy ani imion i nazwisk, ani nawet stopni wojskowych?

— Nie, tylko numery.

— Tego nie wiedziałem.

— Pułkownik zapomniał panu powiedzieć.

— A jaki jest mój numer?

— Tego też pan nie wie?

— Nie.

— 00100. Pan tutaj jest najważniejszy, pierwszy.

— Dziękuję. A pułkownik?

— 00200.

— Dlaczego dwieście?

— Każdy pion zaczyna się od pełnej setki, to znaczy 100, 200, 300. Sto to pion bezpieczeństwa militarnego wyprawy, dwieście to piloci, trzysta — inżynierzy, a dziewięćset to służby medyczne.

— Dlaczego ma pani numer 00931, a nie 00900?

— Niedawno awansowałam. Jeszcze tego nie zmieniono.

— Rozumiem. Przepraszam, marnuję pani czas.

— Nic się nie stało. Ma pan jakieś pytania?

— Tak, skąd się pani tutaj wzięła?

— Byłam naczelnym lekarzem marynarki wojennej, a konkretnie największego okrętu podwodnego. Uznali, że się nadaję, przyjechali nocą i tyle.

— Kim są ci oni?

— Nie wiem. Nigdy więcej ich nie widziałam.

— Czy według pani pułkownik, a raczej 00200, jest jednym z nich?

— Nie ma pojęcia. Jestem lekarzem. Nie pracuję w wywiadzie ani służbach informacyjnych. Zajmuję się leczeniem ludzi.

— Pani specjalizacja?

— Wirusologia.

— Ile osób liczy pani zespół?

— Pięć.

— Ich specjalizacje?

— Chirurg, psychiatra, internista, ginekolog i ja. Informuję, że minął kwadrans.

— Dziękuję pani za rozmowę.

Pułkownik wyjął z jednej z kieszeni niewielki notatnik i długopis, zapisał kilka uwag i poprosił następną osobę, którą okazał się młody biolog. Jego zadaniem było utworzenie sekcji rolniczej na nowej planecie. Był nieco niezdarnym i powolnym człowiekiem o łagodnym uśmiechu.

— Numer 00600, szef służby biologii i rolnictwa.

— Niech pan siada.

— Pewnie zastanawia się pan, panie generale, po co tam zabierają biologa i rolnika?

— Tak. Z tego, co wiem, mamy specjalne tabletki żywieniowe, więc chyba nie potrzebujemy żywności.

— A jednak, nie wszystko jest idealne.

— Mianowicie?

— Dieta sztuczna, jak ją nazywam, wystarczy naszemu organizmowi góra na osiemnaście miesięcy, ale potem trzeba przez kilka tygodni odżywiać się normalnie, inaczej czeka nas wstrząs i śmierć.

— Interesujące. Ale jak tam uprawiać rośliny, skoro mamy mieszkać pod ziemią?

— W specjalnych inkubatorach. Wystarczy trochę miejsca, specjalna mieszanka odżywcza w płynie i światło. To akurat praktykujemy już od dawna.

— Dobrze. Ile osób liczy pana zespół?

— Tylko trzy.

— Jak pan się tutaj znalazł?

— Dobre pytanie. Pracowałem jako genetyk dla wojska, gdy nocą przyjechali jacyś ludzie, zabrali mnie do samochodu z czarnymi szybami, no i jestem tutaj.

— Nie boi się pan lecieć na Marsa?

— Wszyscy się boimy, ale to nasza misja, kolonizacja kosmosu. Nas, ludzi, też ktoś przywiózł kiedyś na Ziemię. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Dziękuję za rozmowę.

— Mogę odejść?

— Tak, mieliśmy tylko kwadrans.

Mężczyzna uśmiechnął się i powoli wyszedł z gabinetu generała, który szybko poczynił notatki po rozmowie z nowopoznanym człowiekiem. Generał odpoczął kilka minut, wypił kilka łyków zimnej wody z cytryną i wezwał kolejną osobę. Był to z kolei potężnie zbudowany mężczyzna, wyglądem i zachowaniem przypominający zawodowego żołnierza, który też wzorowo po wojskowemu się zameldował:

— 00400, szef techników, kierowców i łączności, sir!

— Spocznij. Gdzie pan służył?

— Czternasty batalion pancerny, sir!

— Rozumiem. Ile osób liczy pana sekcja?

— Sześć, w tym dwóch kierowców-mechaników.

— A pozostali?

— Są świetnie wyszkolonymi żołnierzami, gotowymi przejmować nawzajem swoje obowiązki w razie potrzeby.

— Sami mężczyźni?

— Nie, jest wśród nas jedna kobieta, 00414. Świetny elektronik.

— Dobrze. Jak pan się tutaj dostał?

— Otrzymałem rozkaz, sir!

— To wszystko?

— Tak jest!

— Jak pan ocenia szanse naszej misji?

— Z technicznego punktu widzenia dobrze, za resztę odpowiadają inni, ale damy sobie radę, sir!

— Dziękuję panu.

— Tak jest, sir!

Mężczyzna zasalutował i odszedł. Kolejną osobą był znany już generałowi inżynier Malenn, twórca pojazdu międzyplanetarnego. Wszedł bez pukania, usiadł w fotelu i wypijając resztkę wody ze szklanki dowódcy, powiedział:

— Cholerna dieta, nigdy się nie przyzwyczaję.

— A jak długo jest pan na diecie?

— Kilka miesięcy. O, przepraszam, jestem 00300. Co za dureń to wymyślił?

— Nie podoba się panu taka forma?

— Absolutnie nie. Poza mną wszyscy tutaj są wariatami, którzy bawią się w jakieś wojsko czy coś podobnego.



— A pan?

— Ja? Ja stworzyłem ten pojazd. Wraz z kilkoma ludźmi z mojego pionu wcześniej pracowałem w NASA. Tam było normalnie, tutaj zaś to istna paranoja.

— Mamy szansę na wylądowanie na Marsie?

— Chyba tak.

— Dlaczego: chyba?

— Ponieważ bez tego „chyba”, panie generale, nie byłoby postępu ludzkości, zawsze jest jakieś „ale”.

— Nie wierzy pan we własny projekt?

— Tego nie powiedziałem.

— A jak pan ocenia sam pojazd?

— Jest wspaniały! Sam pan zobaczy. To moje dziecko. Moje i tylko moje. Tamci durnie szukali drogi na Marsa w starej technologii, skończony prymitywizm. Tylko ja wpadłem na to, jak zbudować coś innego.

— W jaki sposób?

— Dzięki przypadkowi i nazistom, którzy byli naprawdę blisko, ale zabrakło im czasu.

— Na co?

— Jak to: na co? Na stworzenie supernowoczesnej broni. Nie mielibyśmy żadnych szans, żadnych!

— No tak.

— Projekt statku zapożyczyłem z Biblii, z Księgi Henocha, gdzie jest dokładny opis lądownika międzyplanetarnego, zresztą nie tylko to.

— Czytam regularnie Biblię, ale jakoś nigdy nie znalazłem tam śladu kosmitów.

— Nie jest pan inżynierem tylko wiernym, więc nie patrzy pan pod innym kątem.

To wszystko.

— Sugeruje pan, że kiedyś ktoś inny nas tutaj odwiedził?

— Jasne. Inaczej dalej bylibyśmy małpami. Chociaż, jak na niektórych ludzi patrzę, to chyba tamci się za bardzo spieszyli lub ponieśli klęskę.

— Dobry żart.

— Tylko ja tutaj żartuję, bo reszta jest śmiertelnie poważna, tfu.

— Dziękuję panu.

— Mogę odejść?

— Naturalnie, ale jeszcze jedno... Jeśli jeszcze raz wypije mi pan wodę, odstrzelę panu łeb, rozumiano?

— Tak... przepraszam.

— Może pan odejść.

Generał Brown z zadowoloną miną obserwował przerażenie na twarzy naczelnego inżyniera. Po chwili rozległo się kolejne pukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie, w pokoju pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna o charakterystycznej twarzy agenta służb specjalnych. Obcy mężczyzna przez kilka minut obserwował generała, który spokojnie wydobył pistolet i położył na szklanej ławie.

— My się jeszcze nie znamy — zagadnął przybysz.

— A powinniśmy?

— Tak. Niech pan schowa broń, generale. Jesteśmy po tej samej stronie.

— Kim pan jest?

— Aniołem stróżem tej wyprawy.

— Proszę nie żartować. Za coś takiego moi żołnierze wbiją panu bagnet w plecy.

— Bardzo możliwe.

— Do rzeczy zatem.

— Nie mam dla pana zbyt wielu informacji. Mój numer to 011, a 010 to kryptonim służb odpowiedzialnych za misję. Jestem zastępcą dowódcy. Oficjalnie odpowiadam za propagandowy przebieg misji. Prawdę znam tylko ja, pan i pułkownik. Proszę o dyskrecję. Na co dzień nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Żegnam. — Odwrócił się w stronę drzwi, jednak za sekundę zawrócił, by dopowiedzieć z wahaniem: — Aha... i jeszcze jedno. Byłem ostatni w kolejce, nikogo ważnego już nie ma.

— Miałem poznać wszystkich — generał zaakcentował ostatnie słowo.

— To nie jest takie istotne. Zmieniłem rozkaz.

— Taaak. Tutaj ja jestem dowódcą i wydaję lub zmieniam rozkazy. Jeśli nie mogę panować zgodnie z przyrzeczoną mi przez pułkownika zdaniem, to rezygnuję z udziału w misji.

— Nie może pan, panie generale, po prostu pan nie może. Żegnam.

Dowódca spojrzał złowrogo na odchodzącego agenta. Nigdy nie lubił tych brudnych służb, bo zawsze przeszkadzali. Postanowił tuż po starcie statku przy

pomocy swoich żołnierzy unieszkodliwić tego typka. Na razie wezwał do siebie pułkownika Crajma, który zjawił się po kilku minutach.

— Oszukał mnie pan — rzucił do niego, gdy tylko tamten stanął w progu.

— Oszukał...? Jak to? Nie rozumiem.

— Miałem być szefem tej wyprawy, dowódcą, a tymczasem zostałem zdegradowany do roli szeregowego przez jakiegoś cwaniaka.

— Aaa... Już u pana był?

— Tak. I, prawdę powiedziawszy, nie czuję się po tej wizycie zbyt komfortowo.

— Ma nas pilnować — pułkownik westchnął głęboko, kiwając głową.

— Nikomu nie ufają, prawda?

— Tak. Ta misja jest zbyt ważna i zbyt wiele kosztuje, więc boją się, a my, niestety, jesteśmy permanentnie pilnowani!

Ostatnie słowa pułkownik wyraźnie zaakcentował i spojrzał nieco w górę. Generał zrozumiał. Wszystko, co mówił i robił było nagrywane, obserwowane i przekazywane dalej. Czuł się jak lew w klatce w zoo, obserwowany przez okrągłą dobę, bez chwili prywatności.

— Na przyszłość proszę o więcej informacji.

— Rozumiem.

— Jest pan wolny.

— Zapraszam pana na obiad, panie generale.

— Poważnie?

— Ale nie tutaj, na pustyni. Proszę być gotowym za kwadrans i zabrać ze sobą dużo wody.

— Rozumiem.

Pułkownik szybko wybiegł z kwatery przełożonego, a ten ubrał specjalny mundur pustynny. Na głowę włożył specjalny kapelusz i zabrał plecak ze sporym zapasem wody; wysokie buty doskonale chroniły nogi generała przed wężami i skorpionami, których na pustyni nie brakowało. W drzwiach zjawił się podobnie ubrany pułkownik.

— Gotowy pan, panie generale?

— Tak, tylko jeszcze włożę okulary przeciwsłoneczne.

— Wobec tego proszę iść za mną.

Mężczyźni ruszyli szybkim krokiem przez wąskie korytarze. Pułkownik zostawił swoją przepustkę w kwaterze generała i to samo kazał zrobić dowódcy. Mężczyzna

domyślił się, że to nieoficjalne wyjście na zewnątrz. Pułkownik sprawnie kluczył wąskimi metalowymi schodami, by wreszcie dotrzeć do jakiegoś hangaru, wewnątrz którego stało kilka samochodów terenowych w wojskowych, maskujących barwach. Mężczyźni w milczeniu wsiedli do jednego z pojazdów. Pułkownik pilotem uruchomił windę, a po kilku minutach byli już na rampie. Auto żwawo ruszyło przez wąskie garażowe drzwi. Przez kilkanaście minut mknęli szybko przez pustynię, zostawiając za sobą podziemny kompleks. Wreszcie zaparkowali w niewielkim kanionie, w którym znaleźli cień i ochronę przed żarem pustyni.

— Nieźle pan jeździ — zagaił generał z uznaniem w głosie.

— Od dziecka lubiłem samochody terenowe.

— O co tak naprawdę chodzi, panie pułkowniku?

— Przez kwadrans możemy tutaj bezpiecznie rozmawiać, i tylko tutaj. Za chwilę zjawi się śmigłowiec rozpoznawczy, a potem przyjedzie grupa żołnierzy w opancerzonych samochodach.

— Nieźle. W co mnie pan wpakował?

— Sam dokładnie nie wiem, panie generale. Dlatego proszę pana o współpracę i pomoc.

— Jak to?

— Coś tutaj nie gra, mam złe przeczucie.

— Co ja mam z tym wspólnego?

— Być może wie pan za dużo i ktoś się chce pana pozbyć.

— Za dużo...? O tym nie pomyślałem.

— Za bardzo nas pilnują, obserwują... Poza tym zniknęło już parę zbyt niepokornych osób. Niech pan na siebie uważa, panie generale.

— A ten zwariowany naukowiec?

— Proszę nie dać się zwieść, to nie jest żaden wariat. Niech się pan wystrzega tego człowieka, nigdy nie darzy go zaufaniem.

— Aż tak źle?

— Koniec rozmowy. Wyjeżdżamy, leci śmigłowiec.

— Dziękuję panu, panie pułkowniku, za ostrzeżenie. Pan również niech na siebie uważa.

— Staram się.

Samochód powoli poruszał się przez pustynię. W pewnym momencie generał ujrzał niewielki, płaski budynek, a przed nim, na parkingu stał podobny do ich

samochód. Był to pustynny bar, odskocznia dla ludzi z podziemnej bazy. Oficerowie weszli do środka. Wewnątrz było przyjemnie chłodno i ciemno, a z głośników płynęła relaksująca muzyka. Prawie nikogo nie było, poza dwoma technikami siedzącymi na końcu sali.

— A jednak obiad?

— To było oficjalne zaproszenie.

— Tutaj też nagrywają.

— O tak, tutaj szczególnie.

— A tamci dwaj technicy?

— To ochrona. Mają tylko kombinezony służb technicznych, ale poza tym pilnują nas.

— No, no, nieźle. Chodźmy coś zjeść.

Mężczyźni usiedli w drugim końcu sali. Po chwili podeszła do nich kelnerka, która uważnie obserwując gości przyjęła zamówienie i znikła na zapleczu, by po kwadransie pojawić się z zamówieniem i zimnym piwem.

— Dlaczego tak nas obserwowała? — zainteresował się generał.

— Nie mamy identyfikatorów.

— Dziwne, że nas jeszcze nie aresztowano.

— Kto miałby to zrobić?

— Służby specjalne.

— Nie mogą.

— Czyżby?

— Oficjalnie stoimy na czele wyprawy, więc nic nam nie mogą zrobić, oprócz obserwowania i donoszenia. To wszystko. Jesteśmy tutaj nietykalni, oczywiście do czasu. A na razie proszę jeść i pić, panie generale, to pana przywilej. Nie każdy może tutaj przyjechać.

— Mogę o coś spytać?

— Proszę.

— Dlaczego wewnątrz tej bazy wszyscy są jacyś dziwni, poważni i skryci? To mnie poważnie intryguje.

— Pan również to zauważył?

— Tak, i to mnie martwi.

— Podejrzewam, że coś jest w tym naszym jedzeniu, dlatego proszę unikać diety. Sam panu załatwiam zdrową żywność, ale to tylko domysły... Może chodzi o izolację pod ziemią, która tak wpływa na ludzi?

— Może, ale czy ci ludzie nie wychodzą na zewnątrz?

— Każdy ma przepustkę i nakazane spacery, głównie nocą.

— Rozumiem... Czyli jesteśmy w więzieniu.

— Taak... w pewnym sensie.

— Coraz mniej mi się tutaj podoba. Czy są jakieś rozrywki?

— Nie. Poza tym barem nic.

— Dziwne.

Oficerowie skończyli jeść, wyszli z chłodnego baru i natychmiast poczuli żar pustyni. Ruszyli odkrytym autem w kierunku bazy, a za nimi w pewnej odległości eskorta. Nagle samochód generała zniknął pod ziemią. Po chwili zaparkowali w hangarze i poprzez labirynt korytarzy dotarli szybko do kwatery dowódcy.

— Dziękuję panu, panie pułkowniku.

— Liczę na odrobinę zaufania.

— Co dalej z dzisiejszym dniem?

— Niech pan odpoczywa. Wieczorem sobie trochę polatamy.

— Tak bez przygotowania?

— Nie opuścimy atmosfery. Na to jeszcze za wcześnie. A, jeszcze jedno... Byłbym kompletnie zapomniał... Jutro przywieziemy tu pańskich ludzi, wszystkich.

— Dobrze. Nie jestem przekonany dziś, tu i teraz, czy chciałbym ich widzieć.

— Są ochotnikami.

— Jasne...

— Do zobaczenia wieczorem.

— Będę czekał.

— Ale przyzna pan, że piwo było dobre, prawda?

Generał został sam. Zdjął pustynny mundur i poszedł pod prysznic, by przez kilka minut rozkoszować się chłodem wody. Wreszcie starannie wytarł ciało i wyszedł z małej łazienki. Wypił kilka łyków zimnej wody, po czym wziął do ręki notatnik, otworzył zeszyt, zapisał kilka zdań i odłożył na ławę. Zanim wyszedł z pułkownikiem, położył na okładce notatnika mały siwy włos, którego teraz nie było na miejscu. Leżał na podłodze, a zatem ktoś był w pokoju i przeglądał jego rzeczy. Był tego pewien. Nigdzie nie był bezpieczny. Postanowił uciąć sobie drzemkę. Nastawił budzik w

elektronicznym zegarku i mocno zasnął. Generał przespał dwie godziny, gdy podświadomie coś kazało mu wstać i wyciągnąć broń z kabury. Odbezpieczył pistolet i podszedł do drzwi. Dwadzieścia sześć lat służby w siłach specjalnych nauczyło żołnierza ostrożności i wyrobiło instynkt, któremu zawsze ufał. Gdy podszedł do drzwi, gwałtownie nimi szarpnął w bok, rzucając zaskoczonym inżynierem Malennem o podłogę.

— Proszę nie strzelać! — rzucił ten, zasłaniając instynktownie twarz rękami. — Z rozkazu pułkownika przychodzę zaprosić pana na pokład mojego statku.

— Dlaczego podsłuchiwał pan pod drzwiami?

— Skądże! Właśnie miałem zapukać.

— No dobrze, niech i tak będzie. Przepraszam.

— Pan też jest wariatem? Jak oni wszyscy?

— A kto tutaj jest normalny?

— Właśnie! Chodźmy, panie generale.

Oficer był zaskoczony rozmiarem statku. Pojazd okazał się zadziwiająco przestrzenny i wygodny, a całość w środku była wykończona dziwnym, ciemnym tworzywem. Wewnątrz pojazdu spotkał pułkownika i dwóch pilotów. To była cała załoga. Oczywiście lot nie mógł się odbyć bez naczelnego inżyniera, który zajął miejsce w wielkim, wygodnym fotelu z białej skóry. Generała zdziwił brak pasów bezpieczeństwa.

— Proszę się wyluzować, panie generale. Za minutę start.

— Nieprawdopodobne. Panie pułkowniku, czy to nie jest żart?

— Ależ skądże. Zaraz się pan przekona.

Po chwili statek zadrżał, a generał usłyszał dziwny szum przypominający wodospad. Nagle ogromny pojazd uniósł się lekko nad bazą niczym latawiec, obrócił o dziewięćdziesiąt stopni i bezszelestnie odleciał w kierunku gwiazd. Generał był w szoku. Wielokrotnie latał samolotami, helikopterami, nawet szybowcami, ale czegoś takiego nigdy nie doświadczył. Od razu pojął, czemu jego rząd tak bardzo dbał o zachowanie tajemnicy. Taka broń mogła zmienić losy świata.

— Zaskoczony?

— Tak, i to nawet bardzo.

— Jestem zawodowym pilotem i też za pierwszym razem byłem w szoku.

— Z jaką prędkością lecimy?

— Pięć tysięcy kilometrów na godzinę.

— To niemożliwe!

— Ta maszyna może lecieć dużo szybciej, proszę mi wierzyć.

— Jest wspaniała! W ogóle nie czuć prędkości i nic nie słysząc.

— Otacza nas antypole siłowe, więc możemy zahamować i stanąć w miejscu w ułamku sekundy.

— Sądziłem, że to nigdy nie będzie możliwe.

— Mylił się pan.

— Jak widać.

— Co ta maszyna jeszcze potrafi?

— Zniszczyć wszystko na swojej drodze.

— Atom?

— Nie, atom to już przeżytek, teraz jest coś zupełnie nowego, ale o tym porozmawiamy innym razem.

— Gdzie obecnie jesteście?

— Właśnie minęliśmy Chiny.

— Nie wykryli naszej obecności?

— Nikt nas nie widzi, nawet nasze satelity.

— To rzeczywiście groźna broń.

— Można się nią zabawić w Boga.

— Albo w diabła.

— Co kto woli.

Generał powoli dochodził do siebie. Oto był na pokładzie statku kosmicznego, który wyprzedzał swoją epokę — niewidzialny, nieosiągalny dla żadnej broni, a sam mógł zniszczyć wszystko, co było bardzo niebezpieczne. Mężczyzna wygodnie rozsiadł się w fotelu. Teraz w błękitnej poświacie uważnie rozglądał się po kokpicie. Przed każdym z pilotów widniał ogromny ekran, na którym pojawiały się setki znaków, cyfr i wykresów. W zasadzie sterowano niewielkim przyciskiem na pulpicie, co przypominało zabawę nastolatków przy nowoczesnej konsoli do gier komputerowych, z tym że to działa się naprawdę. Wreszcie statek zatrzymał się, zadrżał i... koniec. Lot próbny trwał tylko godzinę.

— Wspaniała maszyna! Gratuluję, inżynierze.

— Jeszcze nie poznał pan prawdziwych możliwości tego pojazdu.

— To, co zobaczyłem w zupełności mi wystarczy.

— Dziękuję. Starałem się zaprojektować coś, co zaszokuje ludzkość.



- Udało się panu, nie ma co.
- Za kilka, może kilkanaście lat takie pojazdy będą standardem.
- Bardzo możliwe.
- Samoloty to przeżytek, prawda, panie pułkowniku?
- Tak, choć trudno mi to przyznać.
- Dziękuję za demonstrację. Naprawdę niesamowite przeżycie.
- Najważniejsze, że się panu podobało.
- A był kiedyś ktoś niezadowolony?
- Nie, nie przypominam sobie.
- Odprowadzi mnie pan, panie pułkowniku?
- Oczywiście, z przyjemnością.

Mężczyźni szybkim krokiem wrócili do kwatery generała, a ten natychmiast nalał dwa kieliszki szampana, po czym zadowolony poczęstował gościa i wygodnie usiadł w fotelu:

- Za IMX-1000.
- I wylot na Marsa.
- Szczerze mówiąc, jeszcze dwie godziny temu powątpiewałem w sens mojej obecności tutaj.
- A teraz?
- Zaczynam wierzyć, że naprawdę polecimy.
- Każdy przez to przechodzi. Wreszcie ma pan dobry humor.
- Przez chwilę myślałem, że to jakaś gigantyczna mistyfikacja.
- Ale to prawda.
- Przecież ten pojazd to rewolucja.
- Oczywiście. Otwiera nowe drogi przez ludzkością.
- Dlaczego pan się nie cieszy?
- No cóż, leciałem już siedemnasty raz, dla mnie to już rutyna.
- A co pana martwi?
- Potęga tej broni i prymitywność ludzkiego umysłu.
- Na razie ma służyć celom pokojowym i badawczym.
- Powiem panu coś w tajemnicy...
- Słucham?

— Tych pojazdów jest więcej. Nasz jest cywilny, ale są też wersje wojskowe, uzbrojone i gotowe do walki. Są mniejsze, szybsze i doskonałe w zabijaniu i niszczeniu, i ta broń jest gorsza od wszystkich bomb atomowych na całej ziemi.

— Ale tylko my jesteśmy w jej posiadaniu?

— Na razie tak, ale tylko na razie, panie generale, bo inni też nad nią pracują. Przez przypadek jesteśmy pierwsi.

— Rozumiem.

— Jutro spotka pan swoich. Przybędą o ósmej rano. Ich kwatery przygotowaliśmy niedaleko pańskiej, tak na wszelki wypadek.

— Kiedy lecimy na Marsa, panie pułkowniku?

— Wkrótce. Wszystko zależy od wyników pańskich jutrzejszych badań w szpitalu.

— Mam nadzieję, że jestem zdrowy.

— Oby. Dobranoc, panie generale.

Pułkownik wyszedł z kwatery dowódcy i szybko udał się na spoczynek.